

WENDY
ALEC

UPADEK
LUCYFERA



KRONIKI BRACI

KSIĘGA I

UPADEK ŁUCYFERA

WENDY
ALEC



KRONIKI BRACI

UPADEK
LUCYFERA

a
aetos

Tytuł oryginału: *The Fall of Lucifer*
Copyright © Wendy Alec 2018

Projekt okładki: © Supercharger Design Co.
Ilustracja na okładce: © Shutterstock

Published by arrangement with Harper Inspire, an imprint of HarperCollins Christian Publishing, Inc. at 501 Nelson Place, Nashville, Tennessee 37214, U.S.A.
Copyright for the Polish translation and edition © 2018 by Aetos Media Sp. z o.o
All rights reserved.

Tłumaczenie: Fabiola Janiszewska
Redakcja: Malwina Błażejczak
Korekta: Tomasz Powyszyński
Rewizja: Marta Kruk
Skład: Marek Krystoń

Cytaty z Pisma Świętego zaczerpnięto z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980; oraz Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza Ewangeliczny Instytut Biblijny, Poznań 2016

Aetos Media Sp. z o.o.
ul. Krzywoustego 1/11
51-165 Wrocław
tel. 535-657-967
e-mail: aetos@aetos.pl
www.aetos.pl

Wrocław 2018

ISBN 978-83-61097-78-5

Dla „Doktorka” Koefmana, mojego
kochanego ziemskiego ojca
w dziewięćdziesiątym drugim roku jego życia

SPIS TREŚCI

Prolog	11
Pokłosie	19
1 Pierwsze Niebiosa Sto tysięcy lat wcześniej	25
2 Inauguracja	51
3 Portale	71
4 Eden	83
5 Nabożeństwo poranne	87
6 Objawiający	93
7 Człowiek	97
8 Zdrada	101
9 Komnata szermiercza	111
10 Podburzanie	115
11 Heban	123
12 Niedysponowany	131
13 Chwała	135
14 Ognisty kamień	143
15 Wieża wicherów	151
16 Wojna w niebiosach	155
17 Na wschód od Edenu	175
18 Gabriel	183
19 Tytuły własności	185
20 Droga do Zatracenia	195

21	Lochy	211
22	Intruz	215
23	Koronacja	223
24	Diabelskie nasienie	231
25	Wyrok	239
26	Arka	247
27	Sąd	253
28	Tartar	259
29	Parami	265
30	Źródła wielkiej otchłani	271
31	Babilon	275
32	Roszczenia	283
33	Święta góra Boża	295
34	Skarbce	305
35	Ex nihilo	307
36	Kuszenie	311
37	Nova	317
38	Mul Bar Bar	325
39	Rada Ciemności	329
40	Znowu razem	333
41	Petra, rok 2017	337
42	St. Michael's Mount, rok 1981	339
43	Klasztor Archaniołów, rok 2021	345
44	Książę Zatracenia	349
45	Aretas z Petry	357
46	Bracia	385
47	Pierwsze Niebios	391

SPIS TREŚCI

48	Herod	399
49	Christos	407
50	Objawienie	413
51	Siódmy Kamień	421
52	Hordy piekielne	437
53	Aleksandria	451

PROLOG

JORDANIA, PETRA, ROK 2017: DOLNE TEMENOS – WIELKA ŚWIĄTYNIA

Wysoka, krucha postać, całym ciężarem wspierająca się na srebrnej lasce, kuśtykała powoli w półmroku. Mężczyzna przeszedł pod białym sklepieniem z sześciokątnych płyt, wzdłuż potrójnych rzędów kolumn, i zatrzymał się nad wejściem do najnowszego stanowiska archeologicznego Dolnego Temenos. W odległości kilkunastu stóp za nim podążał arabski chłopiec, wyglądający najwyżej na dziesięć lat.

– Szybciej. – Głos mężczyzny, wykształconego Brytyjczyka, był cichy, lecz ton stanowczy. – Szybciej!

Polecenia wydawane robotnikom pracującym przy wykopaliskach stały się bardziej ponagląjące. Mężczyzna ze źle skrywa-

nym zniecierpliwieniem przyglądał się poczynaniom pięciu Jordńczyków. Następnie skinął na Waseema, który szybko wpiął linę w uprząż opasującą jego talię.

Odrzuciwszy laskę, zaczął powoli opuszczać się w głąb głównego szybu. Nagle zacisnął zęby, usiłując w ten sposób zatrzymać intensywną falę bólu.

– Malik...! – krzyknął przerażony Waseem, pochylając się nad szybem i łapiąc go za lnianą kurtkę.

W tej samej chwili blade oświetlenie stanowiska włączyło się ponownie, migocąc i rozjaśniając twarz Anglika. Nick De Vere był młody, najwyżej dwudziestosześcioletni, lecz schorowany. I byłby przystojny, gdyby nie miał tak delikatnych rysów. Odsunął z twarzy jasną grzywkę, odsłaniając szare oczy o poważnym spojrzeniu, w oprawie długich, czarnych rzęs. Spojrzał na chłopca ze zmarszczonym czołem.

– Waseem – westchnął – Nie jesteś moją matką.

– Jesteś chory, Malik. Nie powinieneś tego robić – jęknął chłopiec i rozluźnił uścisk na kurtce Nicka.

Przez twarz Nicka przemknął zmęczony uśmiech. Nagle odwrócił głowę, trzęsąc się gwałtownie. Na jego skronie wystąpił obfity pot. Po omacku odnalazł w kieszeni srebrne pudełko na tabletki i próbował je otworzyć drżącymi palcami.

– Waseem... – zwrócił się do chłopca ledwie słyszalnym głosem. Waseem zdecydowanym ruchem zabrał pudełeczko z dłoni Nicka, któremu oczy uciekły w tył głowy. Nick wisiał na linie wewnątrz szybu, na wpółprzytomny, bezwładny i ciężki.

Chłopiec z wysiłkiem wciągnął go z powrotem do pieczary. Podważył wieczko pudełka i wrzucił cztery żelowe kapsułki do gardła Anglika.

– Połknij, Malik. Połknij.

Nick przełknął kapsułki i opadł na ziemię. Waseem ułożył jego głowę na swojej nodze i zaczął mu cicho śpiewać... niczym matka.

Dużo później Nick powoli przemieszczał się w dół... coraz niżej... sześć stóp... potem dwanaście, wzdłuż rusztowania na ścianach wschodniego szybu. Waseem podążał za nim, dopóki obydwaj nie dotarli do drugiej grupy jordańskich robotników. Znajdowali się teraz głębiej, niż dokopał się jakikolwiek zespół archeologiczny w historii Petry. Wzrok Nicka padł na niewielki fragment złocistego metalu pobłyskujący spod piaskowego pyłu.

Zahid, zaufany kierownik ekipy wykopaliskowej Nicka, stary Beduin, spojrział na niego, a w jego oczach płonęło niedowierzanie.

– Dwóch ludzi ognia, Malik – powiedział łamaną angielszczyzną z charakterystycznym ciężkim akcentem. – Może mówią prawdę.

Nick oddychał płytko.

Zahid gestem nakazał robotnikom ciszę. Wszyscy natychmiast umilkli. Beduin położył swoją dłoń, pomarszczoną i orzechową, na dłoni Nicka i skierował ją w pył pokrywający złocisty kawałek metalu.

– Być może, Zahid – powiedział Nick półgłosem. – Być może.

Ze zniecierpliwieniem zaczął odgarniać piasek. Waseem dołączył do niego; obaj w błyskawicznym tempie strzepywali pył ze złotego przedmiotu.

– Pędzel, Zahid! – zażądał krótko Nick.

Zahid śpiesznie podał mu pędzel z miękkiego, krótkiego włosia. Nick delikatnie, drobnymi fachowymi ruchami, usu-

wał z metalowej powierzchni resztki pyłu, dopóki nie oczyścił całkowicie środkowej części przedmiotu. Jego oczom ukazał się perfekcyjnie wykonany grawerunek rozmiarów obiadowego półmiska.

– Waseem... – Anglik szeptem wezwał chłopca i podniósł rękę w geście oczekiwania.

Waseem podsunął mu zwój pożółkłego papieru. Nick wyrwał mu go z dłoni i drżąc, rozwinął, a następnie ułożył na metalowej płycie obok grawerunku.

– Ludzie ognia, Malik? – Dłonie starego Beduina trzęsły się.
– Mówią prawdę?

Nick założył okulary i pochylił się nad złotą płytą, podczas gdy Zahid i Waseem obserwowali go z zapartym tchem. Po dłuższej chwili Nick powoli podniósł wzrok, a jego twarz jaśniała z podniecenia.

– Zahid. – W euforii ucałował staruszkę w oba policzki. – Niech kopią.



PÓŹNIEJ

Było po pierwszej w nocy, gdy wreszcie skrzynia została odsłonięta w całości. Upłynęły kolejne dwie godziny, zanim spoczęła pośród kamiennych ścian Dolnego Temenos. Miała cztery stopy szerokości, dwie głębokości i była wykonana z półprzejrzy-

stego złota przypominającego szkło, w którym osadzono najróżniejsze rzadkie kamienie. Wyglądała jak starodawny święty przedmiot Hebrajczyków, Arka Przymierza, jako że na wieku znajdowały się precyzyjnie wyrzeźbione w złocie cheruby i serafy. Była jednak mniejsza, a pośrodku wieka wygrawerowano duże, pięknie wykonane oznaczenia. Pod największym rysunkiem wyryto zaś jeszcze trzy mniejsze.

Nick gładził rysunek dłonią.

– Królewski herb, Zahid – wyszeptał. – Herb Domu Jahwe.

Waseem wskazał na trzy mniejsze grawerunki. Spojrzał na Nicka ze zmarszczonym czołem, szeroko otwierając ciemne oczy, w których widać było niedowierzanie.

– Pieczęcie trzech wielkich książąt. – Nick spojrział na siedzącego na ziemi i bujającego się w tę i z powrotem Zahida.

– Potężni ludzie ognia... trzech archaniołów.

Oczy Zahida rozszerzyły się jeszcze bardziej, tym razem ze zrozumieniem i lękiem.

Nick uważnie przyglądał się rysunkom. Palcem wskazującym delikatnie śledził linie godła.

– Męstwo i sprawiedliwość – powiedział półgłosem. – Wielki Książę Mikhail.

– Jibril! Jibril! – krzyknął piskliwie Waseem, z ekscytacją wskazując na drugą pieczęć.

Nick skinął głową twierdząco.

– Gabriel – szepnął – Objawiający.

Zahid, niezdolny, by się ruszyć, i drżący, wpatrywał się w ostatni grawerunek. Ten był nieco większy od pozostałych, a w jego centrum osadzono imponujący karmazynowy rubin. Zahid zaczął bujać się jeszcze bardziej nerwowo.

Nick delikatnie dotknął rubinu.

– „Wobec czego zrzuciłem cię z góry Bożej” – wyszeptał – „i jako cherub opiekun zniknąłeś spośród ognistych kamieni”.

Nick i Zahid wymienili długie, pełne zrozumienia spojrzenia.

Nick wziął głęboki oddech.

– Wróćmy do tego, po co tu przyszedliśmy...

Przy pomocy mechanicznego lewarka Zahid uchylił wieko skrzyni dość wysoko, by można było wcisnąć w szczelinę dwie długie drewniane belki. Jeszcze jeden obrót ramienia lewarka i kamienny zamek pękł, i w dwóch kawałkach spadł na pokrytą pyłem podłogę. Nick spojrzał za siebie, na pozostałych robotników stojących w ciasnej grupie, z przerażeniem wpatrujących się w trzecią pieczęć. Oni jakby na to czekali; pierzchli niczym przestraszone zwierzęta, pozostawiając trzech mężczyzn w półmroku.

Nick skinął głową. Pochylili się i powoli podnieśli pokrywę. Całą komnatę zalało oślepiające, opalizujące światło, w siedmiu kolumnach rażąco białego płomienia.

Zahid i Waseem padli na twarze w pokrywający ziemię pył.

– Allah Akbar! Allah Akbar! – zawołali zgodnie. Nick upadł na kolana i osłonił oczy ramieniem, by uchronić je przed palącym gorącem.

Świetliste kolumny stopniowo rozproszyły się i w miarę jak biała mgła się rozrzedziła, w górnej części skrzyni oczom obecnych ukazały się dwa olbrzymie kodeksy oprawione w złoto.

Nick bardzo ostrożnie sięgnął do wnętrza i wydobył jeden z nich.

– Pisma anielskie... – wyszeptał zdumiony.

Powoli otworzył księgę i zaczął wodzić opuszkami palców

wzdłuż linijek dziwnego, złotego pisma. Zdawało się, że pod jego dotykiem tekst nabiera życia; litery jarzyły się i tańczyły.

– Najdawniejsze z pradawnych pism anielskich – szepnął Nick do Zahida, który nadal klęczał na podłodze, twarzą na ziemi. Beduin powoli uniósł głowę i spojrzał na kodeks. Z niedowierzaniem wpatrywał się w pulsujące pismo anielskie, teraz zapisane w języku arabskim. Nick przesunął palcem po tytule, a świecące arabskie litery natychmiast przemieniły się w znaki alfabetu angielskiego.

– „Tajemne roczniki Pierwszych Niebios”... „Upadek Lucyfera” – jego głos przeszedł w szept. – „Zapisane przez Gabriela”... „Objawiającego”.

POKŁOSIE

ROK 2028

Lucyfer stał we władczej pozie. Potworny czarny rydwan wojenny, dla którego torem były błyskawice, a którego ogromne srebrne koła uzbrojono w najostrzejsze noże bojowe, ciągnęło osiem najświetniejszych uskrzydłonych rumaków – ich sierść połyskiwała czernią głęboką jak noc. Na czas bitwy przybrano je bogato, a w grzywy wpleciono platynę.

Na krótką chwilę chmury rozstały się i w promieniach słonecznych, które przedostały się przez szczelinę, Gabriel dojrzał Lucyfera, którego wargi poruszały się w niezrozumiałych inkantacjach potępionych. Gdy rydwan, nad którym dumnie powiewał sztandar piekiel z symbolem karmazynowego płomienia, z hukiem przejechał obok, Gabriel nie odwrócił ku niemu twarzy, ale na powierzchni chmur ujrzął cienie mijających go rumaków.

Rydwan przemknął tak blisko, że biały rumak Gabriela wzdrygnął się i zaczął prychać, zwietrywszy smród zgnilizny towarzyszący szatańskim zaklęciom. Gabriel odwrócił głowę.

Poznaczone bliznami, zniekształcone rysy Lucyfer ukrył pod

przyłbicą, a okrutne spojrzenie jego szafirowych oczu wyrażało żądanie bezwarunkowego posłuszeństwa.

Postawę nadal miał królewską. Głowę trzymał uniesioną wysoko. W błyszczące kruczoczarne włosy miał wplecione błyskawice i pasma platyny. Jadąc, wymachiwał ścisłkanym w pięści dziewięciorzemiennym biczem.

Lucyfer wyglądał jednocześnie wspaniale i potwornie. Powoli i z uwagą badał przenikliwym wzrokiem roztaczającą się przed nim dolinę. Wisząca w powietrzu, gęsta, czerwona mgła ludzkiej krwi mieszała się ze smrodem płonących ciał, spowijającym dolinę, w której rozegrała się rzeź. Miliony ciał pomordowanych żołnierzy – Chińczyków, Europejczyków, Amerykanów, Arabów, Izraelczyków – unosiły się na powierzchni rozległego trzęsawiska krwi i błota obok potopionych koni i dryfujących czołgów oraz innych pojazdów pancernych. Tysiąc sześćset stadiów krwawego bagna – tyle pozostało po natarciu potężnej, dwustumilionowej armii.

Setki tysięcy sępów płowych o rozpiętości skrzydeł przekraczającej dziewięć stóp zaczerniały szkarłatne niebiosa, krążąc nad polem bitwy, podczas gdy chmary ptaków drapieżnych obżerały się łączywie ludzkim mięsem. Na obrzeżach Doliny Jezreel, gdzie grunt był wyższy, leżały usypane w sterty ciała, poodcinane kończyny i głowy.

Zagłada.

Upiorna cisza wisiała ciężko nad doliną. Co jakiś czas przerywały ją jedynie mrozące krew w żyłach wrzaski sępów.

Lucyfer brodził w krwawym trzęsawisku, które dosięgało jego rumakom do wędzideł, w kierunku wzniesienia. Przez jego ciemnoczerwone usta przemknął wyraz zadowolenia. Nagle, wyczuwając czyjąś obecność, zawrócił rydwan.

W odległości kilkunastu mil, na skraju wąwozu, dokładnie naprzeciw Lucyfera, siedziała na białym arabskim ogierze królewska postać, która również spoglądała w dolinę.

Michał zdjął złoty hełm, a jego długie jasne włosy opadły na szerokie ramiona. W zielonych oczach płonęła szlachetność. Uniósł w powietrze Miecz Sprawiedliwości, a zaciśnięte szczęki były jedyną oznaką narastającej w nim furii.

Na twarzy Lucyfera pojawił się kpiący uśmiech. Zwrócił się w stronę Michała i szyderczo zasalutował.

– Schowaj miecz, bracie! – przerwał ciszę jego głos. – Jeszcze nie nadszedł czas.

– Dzień Sądu nadejdzie wkrótce, Lucyferze! – rozbrzmiał dźwięczny, szlachetny głos Michała z drugiego końca doliny.

Lucyfer jednym szybkim ruchem uniósł zasłonę przyłbicy. Ściągnął wodze swych koni, nieudolnie tuszując zniecierpliwienie.

– Nawet archanioł Michał nie może przyspieszyć tego, co zostało zapisane.

Michał ani drgnął. Czekał, groźny i milczący.

W oddali za nim pojawił się siedzący na oklep na białym wierzchowcu Gabriel. Jasne, srebrzyste jak platyna włosy opadały mu na plecy. Nie miał hełmu. Przy udzie wisiała posrebrzana kusza.

Na obliczu Lucyfera na jedną krótką chwilę pojawił się wyraz słabości.

– Gabriel – szepnął. I zaraz potem uśmiechnął się dziwnie, nikczemnie. – Razem na wieki! – wykrzyknął.

Gabriel gwałtownie zaczerpnął powietrza i pochylił głowę.

– Bracia! – głos Lucyfera odbijał się echem... dręcząc ich

dusze. Jego oczy połyskiwały, była w nich groźba. – Zanim skończę, unicestwię całą rasę ludzką.

Zamachnął się i gwałtownie spuścił bicz z ogonów panter i ostrych kawałków stali na zad prowadzącego ogiera, raniąc go. Ślepią konia zamigotały na czerwono. Parskając z bólu, rozdał chrapy i wysłał w powietrze płomień oraz kłęby siarkowego dymu.

– Dokonam należytej mi zemsty! – krzyknął Lucyfer.

Jego rumaki pognały rażąco białym grzbietem czarnego huraganu, wprowadziły rydwan na błyskawice i gniewny książę zniknął wraz z nimi w oddali na ciemniejącym, szkarłatnym niebie.



Lucyferze, mój udręczony bracie, odsyłasz moje listy nieotwarte.

Umieszczona w obsadce z masy perłowej stalówka niestrudzenie zapisywała kolejne linijki na grubym lnianym papierze, na którym wytłoczony był herb Gabriela, księcia regenta.

Upłynęło całe tysiąclecie, a Ty nadal milczysz. Nasz Ojciec Niebieski optakuje Cię z bólem. Tak samo Michał i ja.

Nie przestaniemy Cię namawiać do upamiętania i pokuty.

Wiem, że nadal o mnie myślisz, gdyż Twoje umęczone oblicze prześladowuje mnie w każdej godzinie dnia i nocy, na-

*wet teraz, w ten spokojny wieczór. Dziś o świcie galopowa-
łem przez bujne złociste trawy łąk wschodniego Edenu, które
niegdyś tak gorąco miłowałeś, i wspomniałem dawne ciepłe
dni Pierwszych Niebios, kiedy przepędzaliśmy miesiące, jeź-
dząc konno i trenując się we władaniu mieczem – jako trzech
bracia.*

Gabriel odłożył pióro i odgarnął z czoła złote loki. Na jego twarzy malował się wyraz potwornego cierpienia.

– I przypomniałem sobie czasy, kiedy cię jeszcze nie padł na nasz świat.

Jego słowa były niewiele głośniejsze niż szept.

– Gdy byliśmy po prostu braćmi...

I

PIERWSZE NIEBiosa STO TYSIĄCLECI WCZEŚNIEJ

Odbicie dwunastu bladoniebieskich księżyców połyskiwało na pomarańczowym horyzoncie Pierwszych Niebios. Spadające gwiazdy i błyskawice kreśliły łuki nad srebrzystą powierzchnią morza, a perłowobiały piasek pokrywający plażę się mienił. Miało się wrażenie, że ten krajobraz trwa od wieków i będzie trwać na wieki. Każda kolejna fala zostawiała na połyskującym wybrzeżu garści świetlistych diamentów wielkości owoców granatu. W oddali na wschodzie rozpościerał się Eden, którego bujne, wiszące ogrody i ametystowe wodospady były słabo widoczne z brzegu morza.

W odległości mili od wybrzeża znajoma męska postać, pędząca na oklep na białym ogierze po pienistych grzebieniach fal, śmignęła obok Gabriela. Michał śmiał się głośno, ucieszony

wścigiem. Z nagim torsem, w królewskiej pozie, z uniesioną głową, i lnianymi rozwianymi włosami.

– Do pałacu, Gabrielu! – wykrzyknął, odrzucając głowę w tył w czystej euforii, wywołanej pędem przez spienione fale.

Na płyciźnie rumak Gabriela przyspieszył i doznał Michała. Konie galopowały łeb w łeb w stronę górujących nad plażą miedzianorudych klifów Zamar.

W oddali, ze szczytu zachodniego skrzydła Pałacu Archaniołów, wysoka, władcza postać obserwowała ścigających się braci. Lucyfer stał na rozległym, bogato rzeźbionym perłowym tarasie przylegającym do komnat.

U jego nóg przechadzała się w tę i z powrotem przepiękna czarna pantera, której szyję zdobiła ciężka złota obroża nabijana rubinami.

Rysy twarzy Lucyfera, jakby rzeźbione w alabastrze, były idealnie piękne. Szerokie i gładkie jak marmur czoło, wysokie kości policzkowe, prosty, szlachetny nos i pełne usta okalały połyskujące błękitem czarne włosy do ramion, kontrastujące ze śnieżnobiałymi szatami, oplecionymi w pasie złotą szarfą. Stopy także odziane miał w złoto. Szkarłatny aksamitny płaszcz powiewał na delikatnym wietrze; u boku wisiał pałasz o rękojeści wysadzanej rubinami. Głowę Lucyfera otaczało przejrzyste światło, które zdawało się tańczyć w anielskich zefirach.

Uważnie przyglądał się swym braciom ścigającym się wzdłuż wschodnich wybrzeży. Jego szafirowe oczy o królewskim spojrzaniu płonęły intensywnym błękitem, gdy obserwował rumaki przecinające białe piaski.

Michał przegalopował przez plażę. Gabriel pozostawał z tyłu o długość konia. Obaj wdarli się przez wysoką na dwieście stóp, perłową bramę – drzwi do Pierwszych Niebios.

Kopyta rumaków dudniły po olbrzymich połyskujących diamentach, którymi była wybrukowana kręta droga prowadząca do okazałego Pałacu Archaniołów o froncie zdobionym złotymi kolumnami. Gdy wierzchowce zbliżyły się do bram pałacu, te otworzyły się jakby za sprawą jakiejś niewidzialnej siły.

Lucyfer uderzył dłonią w udo i rozbawiony uśmiechnął się szeroko, widząc, jak Michał ostatecznym zrywem energii popędził swego konia i wysunął się o całe dwie długości przed Gabriela.

– Strategia, Gabrielu. Michał ma strategię! – szepnął.

Michał i Gabriel galopowali teraz między rzędami wspaniałych białych kolumn; minęli kryształowe oranżerie i zatrzymali się w końcu przed wschodnim skrzydłem pałacu. Komnaty należące do Michała znajdowały się za salami oficjalnymi. To tam co dzień, o zmierzchu, pływał w głębokich ciepłych źródłach, których wody płynęły przez wszystkie pomieszczenia.

Michał szybko zsiadł z konia i wbiegł po pozłacanych schodach. Zatrzymał się przed ciężkimi złotymi drzwiami, które zdobił herb Królewskiego Rodu, i z uśmiechem pozdrowił stojącego na tarasie Lucyfera.

Archanioł uniósł dłoń w odpowiedzi, a w jego oczach błysnęła radość. Odwrócił się i wszedł do wnętrza swych komnat.

Sklepione sufity jego pokoiów znajdowały się na wysokości stu stóp. Widniały na nich kunsztownie wykonane freski malowane w odcieniach lazuru, indygo, jasnej błękitnofioletowej barwie kwiatów heliotropu oraz fioletu ametystowego, przechodzącego w magentę i cynober. Bogato rzeźbione sklepienia pokrywały spektakularne panoramy. Kaplica Sykstyńska z freskami Michała Anioła, która miała powstać w przyszłości, była

jedynie marną kopią majestatycznych *trompe l'oleils* zdobiących sale pałacowe Lucyfera.

Olbrzymie okna pałacowe, których ramy ozdobiono rubinami, pootwierane były na oścież, toteż w komnacie odbijały się echem dźwięki oracji anielskich, płynących z Góry Obrad.

Na samym środku olbrzymiej sali stała potężna złota harfa eolska. Wszędzie dookoła leżały najróżniejsze instrumenty muzyczne: liry, lutnie, psalteria, cymbały, organy, zbiór piszczałek, tamburynów i bębenków, a także fujarki, fłażolety, fletnie, serpenty, kornety, połyskujące złote szofary wszelakich kształtów i rozmiarów oraz różnego rodzaju dzwonki.

Lucyfer schylił się, by wziąć wiołę i smyczek, które stały pionowo na honorowym miejscu tuż obok harfy. Wyszedł z powrotem na taras, trącając po drodze struny wioli. Następnie jego zwinne palce przeciągnęły smyczek blisko mostka; Lucyfer, zamknąwszy oczy w zachwycie, grał, pan i mistrz trzymanego w dłoni instrumentu, grał w uwielbieniu dla Jahwe.

Nagle otoczyła go oślepiająca, pulsująca światłość i całkowicie wypełniła perłowy taras. Lucyfer upadł na kolana i porzuciwszy wiołę, która leżała teraz na marmurowej posadzce, zasłonił oczy ramieniem.

Przez jego oblicze przemknął wyraz czystej rozkoszy. Nie myślał już o braciach. Powoli opuścił ramię, odsłaniając twarz, a jego oczy zaczęły stopniowo przyzwyczajać się do rażącego blasku. Opalizująca jasność spływała na Lucyfera migoczącymi kaskadami. Wystawił na nią twarz i kapał rysy w strumieniach białego płomienia; nie zważając na nic, zachłannie chłoniął wszystkimi zmysłami jaskrawą światłość.

Następnie pochylił głowę i wyciągnął ramiona ku niebu, rozpościerając swoje silne dłonie na znak uwielbienia i czci.

– Ojciec...

Światło dramatycznie przybrało na sile.

– Stwórco... Wybawicielu...

Migotanie wypływające z głębi rozległego łańcucha Gór Żłocistych przybrało na sile.

Na zewnątrz pałacu widać było, że oślepiająca jasność emanuje z tysięcy półprzezrzystych istot anielskich i białych orłów pokrywających niczym dywan rozległe zbocza złotej góry i otaczających kryształowy pałac, który wznosił się w oddali, wśród kłębiących się obłoków białej mgły.

Otaczał go potężny mur z jaspisu, szeroki na sto stóp i na ponad czterysta wysoki, bogato wysadzany diamentami, szmaragdami, kryształami hiacyntu, ametystu, nefrytu oraz lazurytu, a każdy klejnot mienił się własnym blaskiem. W oddali, poza północną ścianą muru, prawie całkowicie zasłonięty przez wzgórze pałacowe rozciągał się nieskończony onyksowobrunatny płaskowyż Góry Północnej, wzgórze zgromadzeń anielskich, gdzie liczące sto milionów zastępy niebieskie zbierały się w oddziałach pod wodzą trzech anielskich regentów – archaniołów, wielkich książąt, potężnych wojowników i dowódców Jahwe: Michała, Gabriela i Lucyfera.

Ponad zachodnią ścianą muru widoczny był wspaniały Pałac Archaniołów, gdzie trzech braci mieszkało w zgodzie i harmonii, w jedności. Michał Wojownik, wielki książę i święty głównodowodzący anielskich zastępów Jahwe, waleczny, szlachetny i pełen mocy. Gabriel Objawiający – najmłodszy z książąt, sprawiedliwy i pełen mądrości, wkrótce miał przejść inaugurację. Najstarszy z braci – umiłowany Niebios, Lucyfer Niosący Światło, książę regent, namiestnik Jahwe, pełen mądrości i nie-

zównanie piękny, jaśniejący. Jego tron ustępował rangą jedynie królewskiemu.

Wychodząc na najwyższy punkt obserwacyjny swych perłowych tarasów, Lucyfer był w stanie dojrzeć w dali zarys półprzezroczystego Kryształowego Pałacu, wykutego w jednym olbrzymim diamencie, unoszącego się nad wzgórzem, na którym mieszkało dwudziestu czterech Starców – władców anielskich, starodawnych zarządców niebios i strażników świętych tajemnic Jahwe. Ich białe, gładkie jak jedwab włosy sięgały ziemi, a głowy zdobiły złote korony. Byli wykonawcami Jego świętej woli.

Szczyt pałacu wieńczyły trzy imponujące kopuły – portale, które otaczały gigantyczną złotą wieżę rozgałęziającą się w siedem iglic o czubkach ginących pośród chmur. Portale wyglądały, jakby nie miały dachów, ale łączyły się z jaśniejącymi nad nimi galaktykami. Nad każdą kopułą świeciły nieustannie pulsujące gwiazdne karły i księżycy, które zdawały się być przedłużeniem migoczących ponad budowlą niezliczonych układów gwiazdnych.

Wokół iglic, niedaleko szczytów, krążyły w powietrzu miodryady białych orłów o rozpiętości skrzydeł sięgającej ponad dwudziestu stóp. Ich pazury i dzioby wyglądały jak maczane w szczerym złocie. Ptaki te były posłańcami Jahwe.

Na wschód wznosiła się olbrzymia wieża, twierdza od góry odkryta – Wieża Wichrów. W jej centrum stał duży, złoty stół, który otaczało osiem złotych tronów. Tam szalały anielskie zefiry mądrości i objawienia, odwieczne cyklony posyłające swą mądrość wiatrem ku Starcom, gdy ci zasiadali na niebieskich naradach. Na blankach wieży siadała setka wielkich białych sów.

Ze złotokryształowej wieży wydobywały się grzmoty i błękitne błyskawice. Otaczały ją niesamowite, rozległe ogrody, które zwieszały się tysiące mil ponad wzgórzem pałacowym, jakby trzymała je jakaś niewidzialna siła. Były to wschodnie Ogrody Edenu, po których Jahwe przechadzał się podczas popołudniowych, chłodniejszych godzin dnia.

Wody potężnych Wodospadów Nektaru spadały z hukiem głęboko w dół, odbijając mieniające się tęczowe barwy horyzontu Edenu. Płynące na północ, południe, wschód i zachód święte strumienie, wzdłuż których rosły ogromne, stare wierzby, przemykały pomiędzy bujną, egzotyczną, niebiańską roślinnością i nawadniały Pierwsze Niebios. Jednorożce i oryksy pasły się na łąkach Edenu, a w głębokich stawach, tworzących się u podstawy wodospadów, pluskały się morświny i jeżowce. Rajskie ptaki, tęczowo upierzone flamingi i błękitne gryfy przelatywały nisko nad gorącymi źródłami. Olbrzymie łabędzie o piórach w odcieniu indygo oraz ich młode dostojnie płynęły w stronę kryształowego morza.

W najodleglejszym zakątku wiszących ogrodów stały dwa drzewa o potężnych pniach i rozległych koronach. Ich owoce połyskiwały złotem w świetle błyskawic. Biała mgła spowijała je niemal całkowicie. Na północ od drzew błyszcząły osadzone w hiacyntowej ścianie wieży masywne drzwi ze złota, zdobione rubinami, płonące światłem – wejście do sali tronowej.

Właśnie to, jak się wydawało, było źródłem błyskawic i grzmotów. To tu przebywał Ten, który był światłością i od którego pochodziła wszelka światłość, Ten, przed którym umykały niebiosy i galaktyki, Ten, przed którego majestatem i chwałą nie mógł ustać żaden z mieszkańców Niebios. Jego głowa i włosy były śnieżnobiałe i lśniły blaskiem chwały. Oczy jaśniejące

pełnią poznania oraz potęgą i nieskończonością miłosierdzia były jak płomienie żywego ognia. To przed Nim wszyscy królowie i książęta zrzucali złote korony w zachwycie i trwodze.

Jego piękno było niemożliwe do opisania, a nieliczni, którzy kiedykolwiek spojrzeli na Jego oblicze, nie potrafili powstrzymać łez na dźwięk Jego imienia. Ich twarze jaśniały, a oni sami płakali nieprzerwanie w zadziwieniu i zachwycie, gdyż Jego miłosierdzie i łaska były niepojęte.

On, Jedyne, przebywał w sali tronowej.

Trójjedyny.

Byli nierozzerwalni.

Niezachwiana Jedność.

Byli wielką, świętą tajemnicą.

Strażnikami tych niesamowitych i potężnych sekretów było dwudziestu czterech Starców, starodawnych anielskich monarchów.

Lucyfer wziął głęboki oddech. Po jego twarzy rozlał się spokój, głęboki i widoczny.

– Jahwe – wypowiedział.

Michał pchnął ogromne złote drzwi komnaty Lucyfera; otworzyły się szeroko pod naciskiem jego silnych ramion. Przeciął szafirową posadzkę, zarzucając po drodze płaszcz na jeden z wielkich, złotych foteli, i minawszy zdobione szlachetnymi kamieniami kolumny, przestąpił próg tarasu. Skłonił się nisko.

– Witaj, wielki książę Lucyferze, pełen mądrości i niezrównanie piękny.

Lucyfer powoli zwrócił głowę ku Michałowi. Jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

– Michale, mój bracie...

Michał objął Lucyfera braterskim uściskiem.

– Wygląda na to, że młody Gabriel padł ofiarą twojego talentu taktycznego! – rzekł najstarszy brat.

Uściskawszy się nawzajem, ponownie skłonili się sobie z szacunkiem.

Gabriel wpadł na taras, a w jego szarych oczach błyszczało jeszcze radosne podniecenie wyścigiem. Skłonił się z nieudawanym szacunkiem w stronę Lucyfera, a następnie, z zawadiacką iskrą w oku, w stronę Michała.

Trzech dostojnych anielskich książąt stało obok siebie – olśniewające, jaśniejące postacie, wysocy na dziewięć stóp, muskularni i śniadzi, odziani w białe szaty zdobione klejnotami. Zielone, inteligentne oczy Michała płonęły w twarzy o wyrazistych, szlachetnych rysach. Zmiękczały je jedynie osobliwe dołeczki, towarzyszące rzadkiemu, ale zaraźliwemu śmiechowi. Błyszczące lniane włosy zapleciono z tyłu w gruby warkocz, przetykany złotem i szmaragdami. Młodszy od niego Gabriel był ideałem piękna i gibkości. Miał doskonałe rysy, prawie śliczne: doskonałej rzeźby kości policzkowe, długie jedwabiste, platynowe włosy, królewskie oblicze, przypominające kształtem serce. Skrzydła braci składały się z materii duchowej i widoczne były tylko pod pewnymi kątami. Wydawało się wtedy, jak gdyby były to miliony migocących atomów wirujących z prędkością światła.

– Gabrielu. – Lucyfer podszedł do niego zamaszystym krokiem i ucałował brata w oba policzki. – Umiłowany Gabrielu, nadchodzi twój wielki dzień. – Cofnął się i spojrzał na niego badawczo, a w jego przenikliwym, szafirowym spojrzeniu błyszczała braterska duma. – Niewiele razy wzejdą księżycy, zanim dołączysz do nas i dogonisz nas rangą w służbie naszemu

Ojcu. To wielki zaszczyt. Czy jesteś gotowy przyjąć tę odpowiedzialność?

Gabriel spojrział najpierw w przejrzyste, zielone oczy Michała, potem odwzajemnił szlachetne spojrzenie szafirowych oczu drugiego brata.

– Gabrielu – szepnął żarliwie Lucyfer, ujmując twarz młodszego brata w dłonie. – Jedna trzecia zastępów niebieskich całkowicie podlegająca twoim rozkazom... Czy jesteś gotów przywdziać płaszcz władzy, dźwignąć odpowiedzialność? – Chwycił go za ramiona, jakby chciał go chronić.

Gabriel patrzył mu prosto w oczy, a w jego spojrzeniu nie było strachu ani fałszu.

– Tak – odrzekł cicho.

– To Jego woli musisz zawsze służyć, nie swojej własnej. To Jego wola musi się wypełniać, Jego królestwo panować. – Michał stanowczo skinął głową. – Jemu bezsprzecznie należy się chwała, uwielbienie i posłuszeństwo.

Lucyfer przytaknął i dodał:

– Pokora będzie twoim wybawieniem, Gabrielu. Pokora i służba Temu, który jest godzien wszelkiego uwielbienia – wierzchem opalanej dłoni otarł pojedynczą łzę z oka – godzien wszelkiej czci.

Następnie uśmiechnął się promiennie do Gabriela.

– Mam dar dla ciebie, umiłowany bracie! – Złączył dłonie i wskazał na okazałych rozmiarów przedmiot, ustawiony tuż obok drzwi prowadzących do wnętrza pałacu i owinięty złotą tkaniną.

Gabriel z zapalem odwinął muślin.

– Dla upamiętnienia twojej inauguracji – powiedział Lucyfer, gdy tkanina osunęła się na marmurową podłogę. Gabriel

nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przed nim stał przepięknie namalowany obraz przedstawiający jego samego przed Tronem Królów w dniu inauguracji.

– A, widzę, że podoba ci się prezent, drogi bracie! – Oczy Lucyfera błyszcząły z zadowolenia.

– Jest naprawdę zachwycający! – wykrzyknął Gabriel i obracając się ku niemu, rzekł: – Jesteś z pewnością najhojniejszym z braci!

– Twoja kolekcja już wkrótce dorówna mojej! – Lucyfer wskazał dłonią kunsztowne malowidła, które pokrywały górujące nad nimi sufity.

– Doprawdy, hojny dar! – Michał poklepał Lucyfera solidnie po plecach. – Ja otrzymałem od starszego brata jedynie pouczający wykład!

Lucyfer roześmiał się w odpowiedzi.

– Ty, mój drogi pragmatyku, w przeciwieństwie do Gabriela nigdy nie wykazywałeś krzty zainteresowania wyższą estetyką życia. – Skinął głową, by najmłodszy z braci podszedł bliżej. Ściszył głos do szelmowskiego szeptu. – Ostatni obraz, który mu podarowałem, odnalazłem wiele księżyców później, gdy uchyliłem drzwi jednej z szaf Jethera. A dodam, że był wspaniały. Tkwił tam wraz z resztą jego... – zwrócił w stronę Michała kochające braterskie spojrzenie – ...kolekcji.

– Lucyferze, snujesz intrygę – odparł Michał, ocierając łzy rozbawienia. W tej samej chwili próg przekroczył wysoki anioł o łagodnym obliczu i ciemnych włosach, splecionych srebrem w pojedynczy warkocz. Skłonił się nisko braciom, a następnie zwrócił w stronę Lucyfera, ponownie kłaniając się jemu samemu.

– Asmodeuszu! – Archanioł skinął głową i uśmiechnął się.

W dłoniach posłańca zauważył zwinięty pergamin, zapieczętowany złotą pieczęcią Jahwe, i natychmiast wyciągnął po niego swą rękę.

Asmodeusz skłonił się raz jeszcze, mówiąc cichym, pełnym szacunku głosem:

– List do Jego Ekscelencji wielkiego księcia Lucyfera, Niosącego Światło, od Jahwe, Wielkiego Króla Wszechświatów.

Lucyfer wydobyl złotą cinquedeę i użył jej ostrza, by otworzyć list. Czytał uważnie.

– Wzywa mnie... – wypowiedział zaskoczony.

– Twój rumak jest gotowy, Ekscelencjo. – Asmodeusz znów pochylił się w ukłonie.



Dosiadłszy czarnego ogiera, Lucyfer galopem pomknął przez rozległe złociste łąki wschodniego Edenu. Jego kruczoczarne włosy unosiły się za nim w powiewach zefirów, a królewska sylwetka wydawała się drobna wobec majestatu roztaczającego się nad nim, falującego, wielobarwnego horyzontu.

Za każdym razem, gdy wkraczał do Edenu, czuł się tak, jakby robił to po raz pierwszy.

Gnał w poprzek złotych połaci sitowia i dalej, przez bujne lasy deszczowe, gdzie soczyste, aromatyczne podszycie nasączało jego szaty eliksirem. Ogarnięty euforią, odrzucił głowę do tyłu i odetchnął głęboko.

Daleko z przodu widoczne były dwie olbrzymie perłowe bramy – przez nie prowadziła droga do Wiszących Ogrodów

Edenu, własności Jahwe. Jakieś pół mili dalej wody potężnych Wodospadów Edenu spadały z hukiem z olbrzymiej wysokości, zasilając Wieczne Fontanny. Lucyfer spał nieco wodze wierzchowca, podziwiając niesamowity widok.

Potężne kurtyny migocącego światła dosłownie tańczyły na linii horyzontu – ogromna, wirująca zorza mieniła się wszystkimi odcieniami tęczy. Lucyfer ze zdumieniem patrzył, jak barwa pasm światła zmienia się z liliowej w turkusową, z turkusowej w cynober... Wprawnym ściągnięciem cugli skłonił rumaka do skoku. Poszybowali tysiąc stóp w niebo, drwiąc z siły grawitacji, i wskoczyli w sam środek wirującej zorzy.

Zmysły księcia jakby zanikły w zderzeniu z potężną ścianą oślepiającego światła, które zdawało się penetrować każdą komórkę jego ciała. Pałace strumienie jaśniejącej czystości, które przeniknęły go na wskroś, zdawały się na nowo napełniać życiem i energią każdy atom jego istoty.

Momentalnie znalazł się po drugiej stronie przepaści, u bram Edenu. Grunt opadał tu gwałtownie, otwierając niekończącą się otchłań, w głąb której patrzył teraz ze zdumieniem.

Dwóch cherubów, liczących po dziewięć stóp wzrostu, odzianych w płomienie i błyskawice, skłoniło się przed nim nisko, a czubki ich rozpostartych skrzydeł zetknęły się w tym ukłonie.

– Lucyferze, książę i namiestniku Królewskiego Domu Jahwe, Niosący Światło! Wielki Król Niebios cię oczekuje – zwrócili się do niego jednym głosem.

Jeden z nich chwycił wodze jego wierzchowca, a drugi poprowadził go przez kolejną, znacznie mniejszą, perłową bramę

przypominającą kształtem altanę. Weszli w gęstą, kłębiącą się mgłę.

Niesamowity kwiatowy aromat przenikał go na wskroś, gdy mijali sięgające im do kolan mieczyki i uroczyny, połacie bladobłękitnych kwiatów, przypominających tulipany, ale różniących się od nich długimi, kryształowymi pręcikami, krzewy pnących róż każdej możliwej barwy i kształtu oraz ławki i altanki kunsztownie rzeźbione w perle i kryształach.

W końcu dotarli do kolejnej bramy, odmiennej od poprzednich. Miała prawie dwanaście stóp wysokości i tylko trzy szerokości, wykonana była z czystego złota, zdobiona szmaragdami i diamentami, osadzona w obejmującym olbrzymi obszar murze z hiacyntu, który strzegł wejścia do najświętszego miejsca Edenu.

Lucyfer zbliżył się do bramy i upadł na kolana. Przed bramą stało dwóch majestatycznych serafów. Każdy miał trzy pary skrzydeł, a ich twarze płonęły żywym ogniem. Pokłonili się przed Lucyferem, jedną parą skrzydeł zasłaniając twarze, a drugą – stopy.

Wstał. Jego oblicze jarzyło się przejrzystym blaskiem. Trzy pary wspaniałych, białych, opalizujących skrzydeł, o rozpiętości ośmiu stóp, które wcześniej były zupełnie niewidoczne, teraz ujawniły się w całej okazałości. Dwa z nich poruszały się, unosząc go w powietrzu.

– Ja, Lucyfer, Syn Jutrzenki, jestem sługą Najwyższego Boga.
– Upadł na twarz i przykrył stopy jedną parą skrzydeł.

– Witamy cię, wielki książę Lucyferze, największy z serafów, Niosący Światło! – W głosach istot pobrzmiwały delikatne dźwięki dzwonek i instrumentów muzycznych, tworząc me-

łodzię. – Nasz Król oczekuje twego przybycia. – Raz jeszcze się skłonili i rozstąpili na boki.

Lucyfer powstał, a palce drżały mu, gdy sięgał złotej zasuwki drzwi. Gdy tylko jej dotknął, na jego dłonie i przedramiona spłynęła obficie aromatyczna substancja przypominająca mirrę. Oddychając gwałtownie, pchnął drzwi i wszedł.

W najdalszym kącie ogrodu, pod dwoma drzewami obwieszonymi złocistymi owocami, stała tyłem do Lucyfera ledwie widoczna przez mgłę wysoka męska postać, w śnieżnobiałych szatach. Połyskujące włosy, które opadały na jej plecy, w pierwszej chwili wydawały się ciemne, praktycznie czarne, ale w unoszącej się i opadającej mgłę zaczęły zmieniać odcienie, by w następnej chwili przybrać kolor kasztanowy, a w końcu złoty.

Postać obróciła się powoli.

Lucyfer upadł na kolana. Ośłonił twarz przed jaskrawobiałym światłem emanującym z płomieni zakrywających oblicze postaci.

Christos postąpił naprzód i zatrzymał się tuż przed archaniołem. Biała mgła powoli się rozproszyła. Lucyfer patrzył urzeczony na stopy przed nim, które świeciły niczym rozżarzony w piecu mosiądz. Podnosząc wzrok, w pierw ujrzał brzeg białej jedwabnej szaty, następnie złotą szarfę przewieszoną przez Jego pierś.

Podniósł głowę. Twarz Christosa promieniowała blaskiem tak intensywnym, że teraz Jego głowa i włosy wydawały się białe jak śnieg. Dopiero gdy fale światła się uspokoiły, widoczne stało się, że Jego broda i włosy miały ognistokasztanową barwę. Na Jego głowie spoczywała złota korona, w której osadzone były trzy wielkie rubiny, symbolizujące nierozwiązalność przy-

mierza trzech osób Boga. Każde spojrzenie na Christosa było dla Lucyfera równie hipnotyzujące jak pierwsze.

Patrzył zafascynowany na wyrażające siłę rysy królewskiego oblicza, na wysokie kości policzkowe, przejrzyste spojrzenie oczu, które błyskały odcieniami od błękitu przez szmaragd po złoty brąz, niczym płomienie żywego ognia, przepelnione nieskończonym poznaniem i głębią miłosierdzia. Potężny Król Niebios. Piękno nie do opisania.

– Christosie! – wypowiedział Jego imię w zachwycie Lucyfer.

– Lucyferze – szepnął Christos. – Umiłowany Synu Jutrzenki.

Christos pochylił się, ujął twarz Lucyfera w silne dłonie i zamknąwszy oczy, czule ucałował jego kruczoczarną głowę, jakby potężny archanioł był dzieckiem.

Po policzkach Lucyfera popłynęły łzy i spadły na dłonie Christosa.

– Nie jestem godzien – rzekł archanioł.

– Tylko On jest godzien. – Christos mówił bardzo cicho, ale w Jego oczach błyszczało uwielbienie, gdy obrócił się, by spojrzeć na widniejące w oddali wysoko ponad ich głowami, wysadzane rubinami drzwi, prowadzące do sali tronowej.

Lucyfer powstał, nie spuszczając pełnego uwielbienia wzroku z Christosa.

– Pójdziemy dziś moją ścieżką – powiedział Christos.

Poprowadził Lucyfera obok złotych drzew i przez wąską perłową altanę, porośniętą pnączami granatu, ciężkimi od dojrzałych, srebrnych owoców. Minęli Wonne Ogrody, gdzie przepiękne kwiaty zwisające z gałęzi wydzielaly intensywne, ostre zapachy kadzidła i olejku nardowego. Idąc, Lucyfer osłaniał oczy przed rażącymi promieniami szkarłatnoczerwonego świa-

ta, które docierały do nich z oddali. Christos kroczył pierwszy, prowadząc w górę doliny, a Jego twarz jaśniała, dopóki nie dotarli do niepozornej grotty znajdującej się na samej krawędzi Klifów Edenu. Przed nią rosło osiem drzew oliwnych.

– Twój ogród – szepnął Lucyfer. Christos uśmiechnął się i pchnął skromną drewnianą furtkę.

Promienie światła stopniowo zbladły, a w odległości jakichś stu stóp od nich, po drugiej stronie szerokiej szczeliny, ich oczom ukazały się ogromne drzwi, pokryte rubinami, płonące światłem, osadzone w hiacyntowym murze wieży. Drzwi do sali tronowej. Klif, na którego krawędzi stali, i ścianę, w której znajdowały się drzwi, dzieliła przepaść, ze spływającymi do niej fontannami żywej wody. Ich źródła były u podstawy tronu Jahwe. Płynęły tysiące mil w dół, by zasilić Potoki Edenu: północny, południowy, wschodni i zachodni, i by nawodnić Pierwsze Niebiosy. Nad otchłanią nie było mostu.

Christos skierował się ku prostej ławce z drzewa oliwnego, która stała pośrodku grotty. Przyglądał się Lucyferowi, patrzącemu w zachwycie w stronę sali tronowej.

– To wielka tajemnica – odezwał się archanioł. – Jest was trzech, a jednak jesteście jednym. – Z trudem odwrócił wzrok od wieży, by spojrzeć na Christosa. – Nas także jest trzech w naszej braterskiej jedności.

– A jednak jest was trzech – odparł Christos z uśmiechem. Lucyfer przytaknął.

– Tak – dodał Christos cicho. – To jest wielka, niezrównana tajemnica. Wielu będzie się nad nią głowić przez wieki.

Skinął dłonią, zapraszając Lucyfera, by do Niego dołączył. Długo siedzieli razem w ciszy, przyglądając się z podziwem potężnej tęczy mieniącej się nad Kryształowym Pałacem.

– Tworzymy nową galaktykę, Lucyferze – odezwał się Christos po dłuższej chwili.

Lucyfer spojrział na Niego w podziw.

– Dzieła Jahwe są niezrównane. – Oczy błyszczały mu z zachwytu.

– Ta galaktyka może ci się wydać mało znacząca jak na anielskie standardy – kontynuował Christos. – Znajduje się blisko stworzonego przez nas niedawno wszechświata Tertusa.

Lucyfer zamyślił się, po czym wyznał:

– Byłem tak zajęty doglądaniem początków Tertusa, że musiałem niejednokrotnie mijać ją w czasie moich podróży.

Christos uśmiechnął się.

– Jak na razie niewiele świadczy o jej istnieniu. Nie przykułaby twojej uwagi – orzekł cicho. – Wiele księżyców temu mówiliśmy ci o naszym zamiarze stworzenia nowej rasy.

Lucyfer skinął głową, potwierdzając, że pamięta tę rozmowę.

– Kolejnej? – Archanioł uśmiechnął się promiennie. – Każda nowa rasa wprawia mnie w podziw.

Christos przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Rasy, która nie będzie rasą anielską.

Lucyfer spojrział na Niego pytająco.

Christos wstał, wyciągając ramiona w stronę sali tronowej. Ogromne, wysadzone rubinami drzwi powoli się otworzyły. Jednocześnie błyskawice i grzmoty się wzmogły, osiągając niesamowite natężenie. Powiał burzowy wicher, błyskawice rozświetlały niebo. Lucyfer upadł na twarz.

I wtedy ponad grzmoty i huk wiatru wybił się głos jak głos tysiąca wód – głos nieskończenie piękniejszy niż jakikolwiek dźwięk, który mogłaby kiedykolwiek pojąć wyobraźnia ludzka czy anielska. Był to głos, który miał moc wysłać w kosmos mi-

lion gorejących słońc, który tworzył i kształtował setki tysięcy galaktyk w jednej chwili i ustanawiał granice firmamentów tysięcy wszechświatów, głos, który wyznaczał ścieżki milionom księżyców, i stwarzał błyskawice, burze oraz grad. Głos Pana panów: władczy, szlachetny, odważny, a jednocześnie pełen łaski i niezwyklej łagodności. Jeden głos, a jednak trzy. Trzy głosy, a jednak jeden.

– Lucyferze, umiłowany Synu Jutrzenki – zagrzmiał – ty, który patrzyłeś, jak kładłem kamienie węgielne wszechświata. Ty, który widziałeś, jak wiązałem łańcuch Plejad i rozcinałem sznury Oriona, który przyglądałeś się, jak przygotowywałem drogę dla potoków deszczu i ścieżki dla piorunów. Lucyferze, Niosący Światło, stworzymy rasę na Nasze podobieństwo... podobną Nam.

Głos ucichł. Błysnęła błyskawica, grzmoty przewalały się ze wzmożoną siłą. W końcu głos znów przemówił.

– Rasę ludzi.

I nagle potężne, zdobione drzwi zamknęły się gwałtownie. Grzmoty i błyskawice natychmiast złagodniały, a wiatr przycichł i przeobraził się w delikatną, ciepłą bryzę. Christos uważnie przyglądał się Lucyferowi.

Archanioł podniósł się na nogi.

– Rasa stworzona... na Wasze podobieństwo? – Przeciągnął palcami po bujnych włosach. Czuł się dziwnie ogłuszony.

Christos przytaknął skinieniem głowy.

– My, aniołowie, czy my nie jesteśmy waszym umiłowanym ludem? – Lucyfer postąpił krok bliżej Christosa.

Ten uśmiechnął się ze współczuciem.

– Niosący Światło, Jaśniejący, umiłowany Niebios.

Po obu stronach Lucyfera zmaterializowali się serafowie, którzy stali tam, gotowi, by wyprowadzić go z Edenu.

Lucyfer uklęknął na jedno kolano i chwycił dłoń Christosa.
– Namaść mnie raz jeszcze, zanim odejdę.

Christos bardzo delikatnie położył dłonie na głowie archanioła. Z Jego dłoni spłynęła na czoło i policzki Lucyfera złocista, słodko pachnąca maść, która zmieszała się z jego łzami. Lucyfer żarliwie spijał namaszczenie. Po chwili opuścił głowę. Christos czekał bez słowa.

Lucyfer powoli podniósł się i podszedłszy do Christosa, z oddaniem ucałował Go w oba policzki – najpierw prawy, potem lewy. Następnie uniósł powoli prawą dłoń i dotknął własnego policzka. Na swoich palcach zobaczył zmieszaną z pachnącą maścią szkarłatną ciecz.

– Co to oznacza? – Spojrzał na Christosa, nie rozumiejąc.

Christos popatrzył na ciemny płyn, potem znów na Lucyfera, a w jego oczach odmalował się osobliwie głęboki smutek. Przez dłuższą chwilę milczał.

– Synu Jutrzenki, wiele, wiele księżyców od dziś, kiedy już niejeden świat powstanie i skończy się, znajdę się w innym ogrodzie – Jego głos był ledwie słyszalny – otrzymam inny pocałunek...

Lucyfer otworzył usta, by zaprotestować, ale Christos uniósł dłoń i Lucyfer znalazł się z powrotem przed złotą, zdobioną klejnotami bramą, prowadzącą do Miejsca Najświętszego.

Dziwnie strapiiony przyglądał się jeszcze chwilę szkarłatnym plamom na palcach prawej dłoni. W końcu wspiął się na swojego rumaka i niczym wiatr pomknął przez łąki, w stronę Pałacu Archaniołów.



Zbliżał się zmierzch. Nad wschodnim horyzontem delikatnie migotało siedem bladoliliowych księżyców, widocznych z wysokich okien komnaty sypialnej Lucyfera. On sam siedział przy swoim czarnym, zdobionym biurku, z zapalonym pręsuwając trzymane w dłoni pióro po lnianych kartkach dziennika. Piękne, pochylone pismo szybko wypełniało strony. Złota korona leżała obok, na marmurowym blacie. Rozpuszczone kruczocharne włosy spływały swobodnie na szerokie ramiona i plecy, okryte białym lnianym płaszczem. Pantera Lucyfera spała spokojnie u stóp swego pana, oddychając równo.

Nagle w komnacie rozległo się ciche pukanie. Lucyfer zmarszczył brwi i spojrział w stronę zewnętrznych drzwi.

W atrium stał Gabriel ubrany jedynie w spodnią szatę, z odkrytą głową.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Lucyferze – zawahał się – na pewien temat.

Lucyfer wstał, przejęty.

– Wejdz, drogi bracie. Siądźmy razem. – Obrócił się, by napełnić dwa puchary gęstym srebrnym eliksirem, stojącym w dzbanie na stole. – Powiedz mi, co cię trapi – dodał, ukrywając uśmiech.

– Nie jestem sobą, to prawda – odrzekł Gabriel, spoglądając na niego gniewnie.

– Napij się soku z granatu. Ukoj twoje nerwy. – W inteligentnym spojrzeniu Lucyfera błysnęła iskra rozbawienia. – Jutrzejszy dzień nadejdzie bez względu na to, czy przywitasz

TRZECH ARCHANIOŁÓW... TRZECH BRACI... JEDEN ZDRAJCA

Saga „Kroniki Braci” to epicka opowieść o wielkich wojownikach, dumie, zwątpieniu, potężnej miłości i zdradzie. Opisując z rozmachem niesamowite krajobrazy Pierwszych Niebios i kreując postacie anielskich bohaterów, Wendy Alec sięga do zamierzcztych początków walki dobra ze złem. Przedstawia historię, która przybywa do nas sprzed wieków, porywa, bawi opisami codziennej beztroski i przeraża okrucieństwem wojny... wojny toczącej się pomiędzy trzema archaniołami, w której stawką jesteście my – rasa ludzi.

**Już wkrótce wszechświatem wstrząśnie wojna...
Wojna pomiędzy trzema anielskimi braćmi...
Wojna o najwyższą stawkę...
...o ludzkie serca.**



Ta opowieść jest wspaniałym materiałem na film.

MARK ORDESKY – producent wykonawczy trylogii filmowej *Władca Pierścieni*

Wendy Alec przedstawia na nowo pradawne wydarzenia i barwnie opowiada o tym, jak duchowa rzeczywistość obecnie wpływa na świat.

ILEEN MAISEL – producent wykonawczy filmu *Złoty Kompas*

„Upadek Lucyfera” to jedna z najlepszych powieści, jakie czytałem: świetnie napisana, głęboko poruszająca, a jej fabuła pozostawia w cieniu „Kod Leonarda da Vinci”. Dostarcza doskonałej rozrywki, a jednocześnie ukazuje tajemnice tak potężne, że mogą odmienić życie.

G. P. TAYLOR – autor bestselleru *Zaklinacz cieni*

PATRONI:

 granice.pl
wspierają literaturę

 OPOKA
.org.pl

 Radio Rodzina

 a
aetos

POWIEŚĆ/FANTASTYKA 44,90 ZŁ

WWW.AETOS.PL

ISBN 978-83-61097-78-5



9 788361 097785